

Pamiętnik Squattersa 3

„Zakładamy sadomasochistyczny salon!” – tak brzmiały pierwsze słowa, które usłyszałem po przekroczeniu progu squata przy Dove Row na początku 2010 roku.

Był piękny styczniowy dzień. Świeciło słońce, gdzieś tam pogwizdywały nawet ptaki, nic w Londynie nie przypominało mroźnej aury, którą zostawiłem dzisiaj poranka w Polsce. Na ulicach leżało co prawda trochę śniegu, pozostałości po intensywnych opadach, które tydzień wcześniej sparaliżowały całą komunikację miejską, ale wyglądało na to, że to już ostatnie podrygi zimy na Wyspach. Dziś o szóstej rano wsiadłem w samolot tanich linii lotniczych Wizzair i przyleciałem ponownie do Londynu.

Teraz stałem przed czerwonymi drzwiami squata i próbowałem swoim pukaniem zbudzić śpiących jeszcze zapewne domowników. Ponieważ klucze do domu zostawiłem przez nieopatrność w Polsce (strasznie byłem przed swoim odlotem rozkojarzony) musiałem czekać aż któryś z moich współlokatorów usłyszy moje dobijanie się do drzwi. W środku, niestety, panowała grobowa cisza. Żadnego śladu ludzkiej aktywności. Oparłem się o murek i zapaliłem papierosa. Postanowiłem dać im jeszcze chwilę na wstanie z łóżek.

Przypomniało mi się, kiedy odwiedziłem to miejsce po raz pierwszy.

Było to mniej więcej rok temu, ja i Krzysztof mieliśmy przejść coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej, mającej na celu stwierdzić czy wpasujemy się w klimat domu przy Dove Row. Krzysztof zdał, ja niespecjalnie, ale potem dzięki jego skutecznej perswazji (opierającej się głównie o historie na temat mojej opłakanej sytuacji finansowej) okazało się, że jest możliwe abym wprowadził się na kilka tygodni, dopóki nie znajdę na stałe innego miejsca zamieszkania. Ulokowano mnie wtedy na tzw. crash space czyli przestrzeni przeznaczonej właśnie dla tymczasowych lokatorów. Było to nic innego jak marmurowa półka o wymiarach mniej więcej 1,5 x 2 metry, na której położony był materac. Tam też spędziłem moje pierwsze squatterskie noce. Potem przeniósłem się na jakiś czas do pokoju Michelle, która z racji studiowania na gdańskiej ASP często wyjeżdżała na dłuższe okresy do kraju. Ponieważ na początku nie miałem nawet swojego grzejnika, spałem w okazałej warstwie ubrań, odziany dodatkowo w zimowy kombinezon Tesco i przykryty śpiworem. Czasami jednak, w mroźne zimowe noce i to nie wystarczało. Pewnego razu, gdy John wyjechała na kilka dni do Izraela pożyczyłem sobie jej koc. Kiedy obudziłem się na rano wszystko mnie swędziało. Gdy wygrzebałem się z licznych okrywających mnie warstw termicznych zobaczyłem na swojej skórze rozległe czerwone plamy. Cholera, koc John musiał skrywać jakieś dziadostwo, na które ona pewnie jest uodporniona. Szczegółowa ekspertyza pogryzień przeprowadzona przez Krzysztofa i Sandrę była jednoznaczna: pluskwy. Oblał mnie zimny pot. Nie raz słyszałem historie o tych wszędobylskich, trudnych do wytępienia robalach. Niektórzy podobno, po prowadzeniu długotrwałej wojny podjazdowej kapitulowali i zmieniali miejsce zamieszkania, zostawiając swoje poprzednie na żer insektom. Gdy zadzwoniłem do domu po poradę, dotyczącą walki ze szkodnikami już na wstępie jednoznacznie mi oznajmiono, że bym wybił sobie z głowy ewentualne pomysły odwiedzin, dopóki nie osiągnę pewności, że raz na zawsze pozbyłem się robactwa. Relacje internautów także nie brzmiały zbyt optymistycznie. Największym jednak błędem, jaki wtedy popełniłem, było wpisanie hasła „pluskwa” do wyszukiwarki obrazów. Po ujrzeniu obrzydlistwa w całej swej okazałości nie mogłem zmrzyć

spokojnie oka. Myśl, że coś tak wstrętnego spaceruje sobie swobodnie po moim ciele i karmi się moją krwią nie dawała mi spokojnie zasnąć. Jakimś cudem jednak, po przeprowadzeniu gruntownego prania i wyrzuceniu wszystkich używanych przeze mnie koców oraz materaca udało mi się z uciążliwymi „współmieszkańcami” pożegnać. Kilka dni później podzieliłem się tą historią z Bonnie. Ta z dumą uniosła zamasyżację koszulę i pokazała mi okazałą czerwoną plamę, rzekomo pozostałość po stoczonych pół roku temu walce z robalami. Ślad po ugryzieniu nie zszedł do dzisiaj...

Potem jednak już było tylko lepiej. Bonnie się wyprowadziła, a ja z Sandrą zajęliśmy jej pracownię (bogiu dzięki materac trzymała w oddzielnej sypialni). Przedtem jednak musiałem jeszcze przekonać wszystkich lokatorów, że będę cennym nabytkiem domu przy Dove Row. Bez tego nie mogłbym pozostać na stałe. Krzysztofa miałem od początku po swojej stronie, z Sandrą też dość szybko złapaliśmy wspólny język i bardzo się polubiliśmy. Tal jest z natury bardzo życzliwy, on także nie miał nic przeciwko mnie. Seksualnie poszukując John przekonałem swoją otwartością na kwestie weganizmu i stwierdzeniem, że nigdy nie można być pewnym swojej orientacji seksualnej, dopóki nie spróbuje się z przedstawicielem swojej płci. U homoseksualnego Alexisa jako facet miałem dziesięć punktów na starcie gratis więc też w miarę „gładko” poszło. Alex jako, że non stop się alienował niewiele miał do gadania, podobnie zresztą Michelle, której regularnie nie było w domu. Największe problemy miałem z Williamem, z którym od początku byłem w dość złej komitywie. Zaczęło się od kilku drobnych nieporozumień, które z czasem przerodziły się w trwałą animozję. Lody zostały jednak przełamane w dniu Massive Squatting Action, kiedy to wyruszyliśmy z chłopakami otworzyć gigantycznego squata w północnym Londynie. Cały dzień wspólnego wyważania drzwi, przybijania desek i wynoszenia gruzu zbliżył do siebie mnie i Williama, dwóch żołnierzy walczących u swego boku na squatterskim froncie i od tej pory zostaliśmy kumplami.

W całym procesie oczywiście niebagatelne znaczenie miało też moje zaangażowanie w sprawy domowe. Zacząłem chodzić z Sandrą, Talem i Krzysztofem na skipping. Wtedy właśnie miały miejsce moje dziewicze zanurzenia w odmęty śmietnikowych czeluści. Pierwsze zderzenie z zapachem skipa wypełnionego lekko nadpsutym jedzeniem na długo pozostaje w pamięci...

Tak więc po przeprowadzeniu tej krótkiej kampanii promującej moją osobę i uzyskaniu zgody na bycie przyjętym w poczet lokatorów domu przy 63 Dove Row stałem się pełnoprawnym członkiem tej małej społeczności. Mogłem już swobodnie dorobić własne klucze. Te same, których tym razem zapomniałem zabrać z Polski.

Z okna wyrzała Sandra. Nareszcie! Kilka sekund później była już na dole i otwierała drzwi od środka. Wszedłem na piętro. Intensywne słońce radośnie przedzierało się przez szyby naszych nieuszczelnionych okien. Ledwie zdążyliśmy zamienić z Sandrą kilka słów, kiedy do salonu wszedł Alexis i ogłosił mi wspomnianą wyżej radosną nowinę.

„Umieścimy salon w piwnicy, w pokoju Alexa” rozwijał myśl Alexis. „Miejsce jest idealne, Alex przecież ma się niedługo wyprowadzić, a na dodatek pokój jest dźwiękoszczelny”.

Robię sobie herbatę i zasiadam przy stole. Alexis ciągnie dalej: „Na takie usługi jest spore zapotrzebowanie, a za godzinę pracy można wyciągnąć sto pięćdziesiąt funtów. Klientela jest bardzo porządna, to zazwyczaj zamożni, dobrze sytuowani ludzie, którzy chcą po prostu zaznać dreszczyku emocji i zrealizować swoje najskrytsze pragnienia. Ja i Sandra zostaniemy dominami, ale każdy

zainteresowany będzie mógł spróbować. To nic trudnego: trzeba trochę popieścić biczem, wytargać za włosy, rzucić kilka wyzwisk i czasami teatralnie przykopać obcasem”.

Wszyscy już wyrazili zgodę na powstanie salonu, ja jestem jedyną osobą, która musi się jeszcze wypowiedzieć. Patrzę Alexisowi głęboko w jego błękitne oczy. Cholera, pomysł wydaje się tak oryginalny i nieprawdopodobny, że jestem strasznie ciekawy jak funkcjonowałby w praktyce. „Zgoda” oświadczam i oferuję, że pomogę nawet w budowie.

Po wypiciu herbaty schodzę do piwnicy wrzucić bagaże do pokoju, który wcześniej zamieszkiwałem z Sandrą. Zmiany rzucają się w oczy już od samego wejścia. Z framugi zwiesza się białe prześcieradło imitujące drzwi. Na prześcieradle widnieje wykonany sprayem napis:

W tej celi osadzeni są:

Tomasz

Sandra

Tyler Durden

Czemu mieszka z nami Tyler Durden nie wiem, ale lubię gościa więc nie będę oponował. Wchodzę do środka. Okazuje się, że Sandra pod moją nieobecność nie próżnowała. Zniknęła zielona, artystyczna plama, którą kiedyś namalowała na ścianie poprzednia lokatorka. Nie tylko zresztą po plamie nie ma śladu, Sandra wymalowała cały pokój na biało. Jedyne co pozostało po bytności Bonnie w naszym pokoju to dwie wykonane przez nią ze styropianu głowy najeżone gwoździami – zapewne Sandra uznała, że jest to wart pozostawienia element dekoracji. W rogu, pod sufitem, dostrzegam zawieszony na nitkach szablon do malowania, będący materiałem promocyjnym piwa Heineken. Zaczynam rozglądać się po ścianach. Szablon ten zanim zawisł pod sufitem najwyraźniej posłużył mojej współlokatorce w bliższy swojemu oryginalnemu przeznaczeniu sposób. Ze wszystkich czterech stron otaczają mnie wykonane sprayem czarne napisy. Najbardziej rzuca mi się w oczy ten nad łóżkiem Sandry: „This place is hell, it’s white just to trick you” (To miejsce to piekło, jest białe tylko po to żeby Cię zmylić). Jest też sporo innych napisów wykonanych za pomocą wycinków z gazet. Żadna sentencja nie przebija jednak historii, którą Sandra kilka miesięcy wcześniej umieściła na jednej z kuchennych szafek: „I thought I’d never be fit enough to be a cockroach. But then I realised I could do it. You get everyone’s respect from the start and the atmosphere is brilliant. We work two days, two nights and then have four days off so you can fit your life around it. But the best thing about the job is the challenges I face and knowing that I’m worrying people every single day!”. (Myślałem, że nigdy nie będę dość sprawny aby zostać karaluchem. Ale potem zdałem sobie sprawę, że jednak może mi się udać. Już na samym początku wszyscy obdarzają Cię szacunkiem a atmosfera jest rewelacyjna. Pracujemy dwa dni, dwie noce a potem mamy cztery dni wolnego, dlatego też bardzo łatwo możesz to zajęcie dopasować do swojego rozkładu dnia. Ale najlepszą rzeczą w pracy są wyzwania, które napotykam oraz świadomość, że każdego dnia jestem dla ludzi powodem do zmartwień!).

Kontynuuję oględziny. Z nowości dostrzegam jeszcze świecący pentagram na ścianie, wykonany z lampek choinkowych oraz szafkę nocną pomalowaną na czarno, na której pierwszą pozycję z brzegu zajmuje „Frankenstein” autorstwa Mary Shelley. Są też i jednak usprawnienia innego rodzaju: pod moją nieobecność Krzysztof doprowadził do pokoju prąd, czego efektem są teraz cztery działające kontakty. Rzucam w kąt walizkę. Zanim się rozpakuję muszę nadać temu pokojowi bardziej użytkowy

charakter. Pierwsze co robię, to wstawiam z korytarza biurko, obskurne co prawda, ale stabilne i wyposażone w trzy szuflady. Po drugie, przynoszę z salonu zbędny stolik, który posłuży mi za prowizoryczną półkę na ubrania. Na koniec decyduję się uszczelnić okno. No, może okno to za dużo powiedziane, dziurę w murze o wymiarach 1 metr x 50 centymetrów, za którą kryje się dziurawa zresztą szyba, przez którą ujrzeć można świat zewnętrzny. Dziurę wypycham gazetami, a wnękę w murze uszczelniam za pomocą dwóch niepotrzebnych nikomu kołder oraz karimaty. Teraz powinno być ciepło.

Tego samego dnia wieczorem siadamy w kilka osób przy stole aby omówić projekt naszego nowego biznesu. Zaczynamy od wystroju wnętrza. Alexis ma już kilka pomysłów, ale przydałoby się zobaczyć istniejący już salon. Ktoś wyciąga z szuflady pismo gejowskie, otwieramy na stronie z ogłoszeniami. Pierwsze z brzegu brzmi:

Mistrz Kain – profesjonalna męska domina

Potrzebny jest jeszcze pretekst. Nie mamy pieniędzy żeby umówić się na sesję do Mistrza, a poza tym nie ma wśród nas chętnych na taką przyjemność. Alexis znowu wykazuje się kreatywnością: kręcimy amatorski horror i potrzebujemy kilka ujęć w salonie S/M. Dzwonimy. O dziwo głos w słuchawce wcale nie brzmi tak groźnie, jak można by przypuszczać po przeczytaniu ogłoszenia. Wręcz przeciwnie, zdawać by się mogło, że Mistrz nie przeszedł jeszcze porządnie mutacji. Alexis pokrótce wyłuszcza naszą sprawę. Niestety, nasz rozmówca nie jest zainteresowany współpracą. Trudno, będziemy musieli wymyślić coś innego...

Wracam do swojego pokoju. Rzeczywiście, efekt moich drobnych prac remontowych jest odczuwalny, pokój jest zdecydowanie cieplejszy niż był przed uszczelnieniem okna. Zadowolony ze swoich modernizacji zapadam w błogi sen.

Środa

Budzę się rano. Rano? Trudno to stwierdzić, jedyną wskazówką, że dzień się już rozpoczął jest dzwoniący mi nad uchem budzik. Izolacja okazuje się być tak szczelna, że w ogóle nie przepuszcza światła dziennego. Zaczynam wątpić w słuszność swojego pomysłu. Temperatura jest jednak dość komfortowa a to sytuacja nie do przecenienia. Staję przed trudnym dylematem: depresja wynikająca z braku światła dziennego czy też regularne marznięcie w nocy?

Konieczne jest inne rozwiązanie. Przypomina mi się, że nieoceniona Pani Kryśka, pracownica Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie, wspominała kiedyś, że posiada grzejnik elektryczny, który może odstąpić. Wykonuję telefon i rzeczywiście, propozycja jest nadal aktualna. Umawiam się z Panią Kryśką, że odbiorę urządzenie jeszcze tego samego wieczoru. Sześć godzin później stoimy już z Krzysztofem przed drzwiami eleganckiego domu przy Ravenscourt Park. Otwiera nam sama gospodyni i z miejsca zaprasza do kuchni. Nie ma to jak dobra, polska gościnność. Zostajemy poczęstowani przepyszny kawa, ciastem i melonem. Wkrótce pojawia się też córka Pani Krysi i oferuje, że podrzuci nas razem z grzejnikiem do metra, z wdzięcznością przyjmujemy propozycję. Opowiadamy trochę o realiach squatterskiego życia, obgadujemy też szczegóły imprezy poświęconej organizowanej, przez Panią Kryśkę, podczas której mam powiedzieć kilka wierszy. Cały czas kątem oka zerkam na Krzysztofa. Widać, że biedak trochę nie może się w sytuacji odnaleźć.

Prowadząc od roku squatterski tryb życia i obcując głównie ze środowiskiem anarchistów zupełnie odwykłem od podobnych sytuacji. Po skończonym poczęstunku wyruszamy w drogę powrotną. Grzejnik ciężki jak cholera, ale zmieniamy się, więc jakoś udaje nam się go dostarczyć do domu. Zanoszę ustrojstwo do swojego pokoju i odpalam. Działa! Po pół godzinie jest już ciepło. Z radością zrywam izolację. Sam grzejnik zżera może i więcej prądu niż dmuchawa, której zakup wcześniej rekomendował Krzysztof, ale za to można na nim w tempie ekspresowym suszyć skarpetki, a to dla squattersa zaleta o niebagatelnym znaczeniu.

Piątek

Dziś John wyjeżdża na kilka dni do Izraela. Tal, który jest z nią bardzo blisko cały dzień jest jakiś nieswój. Wieczorem, około 19, na cztery godziny przed odlotem John, Tal wstaje z kanapy i stwierdza nagle, że uda się piechotą do Yorku, do sklepu z używanymi pianinami, żeby nabyć tam tani keyboard. Od dawna chciał kupić podobny instrument, kiedyś grał na pianinie i teraz chciałby kontynuować naukę. Poza tym bardzo lubi piesze wycieczki. Próbuje mu to wyperswadować, namówić go na wzięcie autobusu, ale nasz bokser pozostaje nieustępliwy, stwierdza, iż gna go potrzeba przeżycia przygody. Widząc determinację Tala, Krzysztof zabiera go do kafejki internetowej, chce wydrukować mu kilka map ilustrujących przebieg jego trasy. Kiedy wracają po upływie pół godziny nie mają ze sobą jednak żadnych wydruków – Tal stwierdził, że map było zbyt wiele i były zbyt skomplikowane – nie będą mu potrzebne, o drogę będzie się dowiadywał na bieżąco. Zapytany gdzie będzie spał, odpowiada, że na ławkach w napotkanych po drodze parkach. Zabiera śpiwór, część swoich oszczędności i już jest gotowy do drogi. Przed wyjściem oświadcza tylko, że prawdopodobnie nie będzie go około miesiąca, tyle trzeba aby pokonać piechotą dystans do Yorku i z powrotem. Ponieważ Tal nie posiada komórki, będzie do nas dzwonił z przydrożnych automatów. Zakłada na siebie swoje sandały (jego odporność na zimno jest naprawdę imponująca) i wychodzi.

Około dwudziestej jedziemy z Sandrą na objazd okolicznych skipów. Na jednym z nich spotykamy dość oryginalnie ubranego punka. Wspólnie przeszukując czeluści kontenera, wymieniamy uprzejmości. Chłopak nazywa się Gordon i, jak się okazuje, mieszka kilka domów od nas. Zapraszamy go do zaprzyjaźnionej kawiarni wegańskiej „Pogo”, on ramach rewanżu zachęca nas do odwiedzenia squata o wdzięcznej nazwie „Morgue” (po angielsku kostnica – dom nosi taką nazwę ze względu na poprzednie zastosowanie budynku). Podobno to bardzo ciekawe miejsce: lokatorzy regularnie organizują tam pokazy filmowe i różnego rodzaju wydarzenia kulturalne. Zabieramy ze sobą znaleziony seler, dziękujemy za zaproszenie i odjeżdżamy.

Sobota

Budzą mnie kroki za ścianą. Ktoś majstruje przy bezpiecznikach. To może oznaczać tylko jedno, mamy kłopoty z prądem. Rzeczywiście, kiedy wchodzę na górę moje przypuszczenia się potwierdzają. Alexis informuje mnie, że prysznic nie działa. Krótkie wyjaśnienie: ponieważ nie mamy klasycznej hydrauliki, a co za tym idzie dostępu do ciepłej wody, używamy tzw. „powershower” czyli zasilanego prądem boileru, który na bieżąco podgrzewa przepływającą wodę. Ratunek jest tylko jeden – Krzysztof. To Krzys właśnie, jako jedyna osoba na squacie, zna się na elektryce i ma rozeznanie w naszej instalacji

elektrycznej. Alexis zdążył już obudzić naszego eksperta, ale ten po krótkim przeglądzie bezpieczników stwierdził, że instalacja jest w porządku. Czyli problem tkwi w samym prysznicu. Niedobrze. Nowy „powershower” będzie nas kosztował około stu funtów. Byłoby dobrze gdyby udało się przywrócić do działania stary egzemplarz. Ponieważ Krzysztof położył się jeszcze na chwilę (biedak wrócił z pracy o szóstej nad ranem) kontemplujemy z Alexisem alternatywne formy kąpieli. Zanim pojawiłem się na Dove Row, a squatterska łazienka nie była jeszcze wykończona, Krzysztof chodził się myć do łaźni dla bezdomnych. Tam niestety prysznice wykonane były na modłę wojskową a to oznacza zero intymności. Nie lubiąc paradować z gołymi pośladkami w sytuacji innej niż erotyczna rozważam jeszcze pozostałe opcje. Przypominam sobie o położnej nieopodal Dove Row siłowni. Gdyby wykupić miesięczny karnet za piętnaście funtów można by regularnie brać prysznic w warunkach nawet lepszych niż nasze squatterskie. Kto wie, może przy okazji można by nawet trochę poćwiczyć?

Gdy Krzysztof rozbudza się już na dobre, przystępujemy do zlokalizowania przyczyny usterki. Na początek przełącznik, który odłącza prąd od prysznica. Tu wszystko wydaje się działać bez zarzutu. Być może więc kabel doprowadzający prąd? Krzysk decyduje się przepiąć go do instalacji na piętrze. Nawet jeśli zabieg ten nic nie pomoże, to i tak prędzej czy później trzeba będzie go wykonać ze względów ekonomicznych.

Tu małe wyjaśnienie. W naszym squacie znajdują się dwie instalacje elektryczne, jedna na parterze, druga na pierwszym piętrze. Za prąd pochodzący z tej pierwszej płacimy, za pobierany z tej drugiej już nie. Sytuacja przedstawia się następująco: w Wielkiej Brytanii bardzo popularny jest system „doładowań”, czy to w przypadku wody, gazu czy elektryczności. Przy odpowiedniej instalacji zamontowany jest licznik wyposażony w specjalny slot. Do każdego licznika dołączona jest karta. Kartę tę można zasilić dowolną kwotą w praktycznie każdym kiosku, po czym korzystać z odpowiedniego medium do momentu wyczerpania doładowania. My jednakowoż, korzystając z pomocy nieocenionego przyjaciela Krzysztofa, niejakiego Jaśka, który jest absolutnym guru w kwestiach elektryki, ominęliśmy wyżej wspomniany licznik i pobieramy teraz na piętrze prąd bez uiszczania jakichkolwiek opłat. Ta działalność jest już niestety nielegalna. Przepinając kable stwierdzamy z Krzysztofem, że w najbliższych dniach konieczne będzie przeprowadzenie w domu szkolenia w zakresie podłączania licznika na powrót do instalacji. W końcu ewentualna inspekcja może zjawić się w każdej chwili a wtedy to na barkach tej osoby, która akurat będzie się znajdowała w domu będzie spoczywało zatarcie wszelkich śladów po naszej kryminalnej działalności. Może przynajmniej unikniemy płacenia grzywny, bo jeśli takowa inspekcja się pojawi ,to biorąc pod uwagę opłakany stan całej instalacji prąd i tak nam odłączy.

Przepięcie kabla przynosi pozytywne skutki, być może dolna instalacja była zbyt słaba, żeby zasilać łasy na duże ilości prądu prysznic. Teraz nie tylko możemy się na powrót kąpać, od tej pory możemy się moczyć pod gorącą wodą zupełnie za darmo!

Poniedziałek

Jem śniadanie kiedy dobiega mnie z dołu dźwięk otwieranych drzwi. Ktoś wchodzi po schodach. Tal! W rękę trzyma okazały pakunek. Ściskam go z całej siły. Dobrze go widzieć całym i zdrowym, i to po tak krótkim czasie. Naprędce opowiada mi historię swojej eskapady. Pierwszą noc wędrował dookoła

Londynu nie mogąc znaleźć drogi prowadzącej na obrzeża miasta. Dlatego też nad ranem zdecydował się wziąć autobus komunikacji miejskiej, którym wyjechał poza centralny Londyn. Resztę dnia spędził idąc poboczem autostrady w kierunku Yorku. Po południu został zatrzymany przez policję. Po uprzejmym odebraniu mandatu za podróżowanie skrajem trasy szybkiego ruchu kontynuował podróż, tyle tylko że polną drogą biegnącą u podnóża szosy. Pod koniec dnia zdecydował się jednak na zmianę środka lokomocji i przesiadł się do pociągu – choć lubi piesze wędrówki, to śpieszno my było do rozpoczęcia treningów na swoim nowym instrumencie. Następnego dnia rano po przybyciu do Yorku odnalazł wspomniany przez siebie sklep, w którym nabył wypatrzone pianino. Do Londynu wrócił nocnym autobusem. Do salonu schodzą się powoli pozostali domownicy. Wszyscy witają Tala z wielką ulgą. Baliśmy się, że spotka go na drodze gorszy los. W Wielkiej Brytanii nie brakuje typów spod ciemnej gwiazdy, którzy każdego obywatela bliskiego wschodu uważają za potencjalnego terrorystę. Nasze obawy jednak okazały się niesłuszne, jak wynika z opowieści Tala, nie dość że wszyscy byli dla niego po drodze bardzo mili, to jeszcze kilka osób zatrzymało się z własnej inicjatywy oferując mu podwiezienie.

Środa

Ma miejsce tzw. „housemeeting”, czyli zebranie wszystkich domowników. Krzyś porusza kwestię porządku. Do tej pory na squacie panowała zasada, że każdy sprząta wtedy kiedy ma na to ochotę. Niestety w ostatnim czasie ochoty tej jakby brakowało, przez co dom uległ względnemu zapuszczeniu.

Zapada wspólna decyzja, że trzeba wprowadzić pewne zmiany. Ustalamy, że środa będzie dniem ogólnego sprzątania. Po raz pierwszy życie na squacie zostanie podporządkowane pewnego rodzaju rutynie.

Czyżby anarchia nie była jednak ustrojem idealnym?

Poniedziałek

Wraca Sandra. Ma nietęgą minę. Dziś w „Pogo” - wegańskiej kawiarni - miał miejsce wieczór filmowy. Wyświetlono film pt. „Earthlings”, wypełniony szokującymi obrazami dokument o wykorzystywaniu zwierząt w przemyśle spożywczym, rozrywkowym i medycznym. Sandra przywołuje kilka zapamiętanych scen. Z racji przebywania w wegańskim środowisku miałem do tej pory okazję zapoznać się już z wieloma ukrywanymi przed opinią publiczną faktami, dotyczącymi okrutnego traktowania zwierząt dla zaspokajania potrzeb współczesnych społeczeństw, ale to co słyszę od Sandry przechodzi ludzkie pojęcie.

Kilka dni później jestem w supermarkecie. Idąc w kierunku kasy przechodzę obok półki z napisem „milk”. W myślach powraca do mnie historia John o realiach przemysłu nabiałowego. O tym jak każda krowa żeby produkować mleko musi zająć najpierw w ciążę. Jak cielaki zabierane są od matek już kilka godzin po urodzeniu. Jak niedługo potem krowy są ponownie sztucznie zapładniane, aby zmaksymalizować produkcję. I o tym jak faszerywane są hormonami, aby dawać dziesięć razy więcej mleka niż robiłyby to normalnie. Idę dalej: regał opatrzony etykietą „eggs”. I znowu przypomina mi się

kilka ciekawostek. Kurczaki hodowane w nieludzkich warunkach, w tak ciasnych pomieszczeniach, że nie mają nawet możliwości poruszania się. Samce, które będąc ubocznym produktem przemysłu jajecznego, są wrzucane zaraz po urodzeniu do wielkich worków na śmieci gdzie w ciągu kilku minut dokańczają swego krótszego niż godzina żywota doświadczając śmierci poprzez uduszenie. Na koniec przechodzę obok okazałej lodówki z mięsem. Piękne czerwone steki lśnią w jaskrawym blasku jarzeniówek. Idealnie pokrojone filety z kurczaka tylko czekają, aby znaleźć się na czyjejs patelni. Tu na myśl przychodzi mi z kolei scena z wspomnianego wyżej filmu, którą opowiedziała mi Sandra. Ale opisu jej chyba państwu oszczędzę.

Po powrocie do domu decyduję się przeczytać coś o „Earthlings”. Wchodzę na stronę internetową dokumentu. Trafiam na cytaty autorstwa znanego hollywoodzkiego aktora Jacquina Phoenixa, wieloletniego weganina i działacza na rzecz praw zwierząt, który swego głosu użyczył filmowi jako narrator: „Gdyby ściany rzeźni zrobione były ze szkła wszyscy bylibyśmy wegetarianami”.

Środa

Dziś przypada dzień sprzątanego. Decydujemy się wspólnie z Krzysztofem zdezynfekować łazienkę na górze. Niektóre ściany są wręcz czarne od pleśni, która nie była usuwana chyba odkąd pojawili się tutaj pierwsi lokatorzy. Zmywamy wszystko gorącą wodą z ludwikiem, mając nadzieję, że wiekowa farba nie zejdzie razem z grzybem. Po pół godzinie ściana jest czysta. To jednak nie koniec kłopotu, teraz musimy jakoś zapobiec powstawaniu nowych zarodków pleśni. Podstawowym problemem jest brak wentylacji, odkąd z początkiem zimy zalepiliśmy małą szczelinę w oknie w łazience, grzyba zaczęło przybywać w postępie geometrycznym. Nie ma innej rady, ponieważ nasze zdrowie jest dla nas priorytetem, zrywamy taśmę. To by było na tyle jeśli chodzi o ciepłe prysznice w zimie...

Niedziela

Wyruszamy z Krzysztofem na spotkanie Nelsona czyli North East London Squatters Network (Sieci Squattersów w północno wschodnim Londynie). Rzecz zapowiada się dość interesująco, tu właśnie podczas jednych ze spotkań tej grupy został ukuty spektakularny plan otwarcia gigantycznego squata, o którym pisałem w pierwszej części pamiętnika. Niestety, tym razem rzeczywistość nie dorasta do pięć oczekiwaniom. Na zgromadzeniu jest zaledwie sześć osób. Krzysztof wyjaśnia to tym, że dzisiejsze spotkanie odbywa się w dość odległej od centrum squatterskiej aktywności, dzielnicy (za każdym razem miejsce jest inne, wiadomość przekazywana jest do wszystkich członków sieci za pomocą smsów w dniu spotkania). Po krótkim zapoznaniu i zdecydowanie dłuższej rozmowie na tematy polityczne przechodzimy do sedna spotkania.

Punkt pierwszy w porządku obrad: jutrzejsze Resisting Eviction (w wolnym tłumaczeniu „Opieranie się eksmisji”). Dziewczyny zamieszkujące położonego nieopodal squata, dostały sądowy nakaz wyprowadzenia się. Teraz należy przeszkodzić w jego wyegzekwowaniu.

Resisting eviction działa na zasadzie przysłowia „Tam gdzie ludu kupa i Herklues d...”. Czyli jeśli zbierze się odpowiednią ilość squattersów, którzy staną na drodze do wejścia do domu, przykują się kajdankami do rynien czy też po prostu zabarykadują się w środku, to bogu ducha winien urzędnik

sądowy będzie zmuszony odstąpić od zamiaru eksmisji. A zanim powróci w asyście oficerów policji minie zapewne jeszcze kilka miesięcy.

Punkt drugi: ustalenie wstępnych założeń akcji, mającej na celu zachęcenie osób czekających w kolejce na mieszkanie od gminy do okupowania pustostanów.

Kiedy rozpoczynałem swą przygodę ze squatowaniem miałem kilka wymarzonych miejsc, w których chciałem zamieszkać. Moją lokalizacją numer jeden było Chiswick, dzielnica położona na obrzeżach Londynu, obfitująca w łąki, lasy i boiska futbolowe. Niestety wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że mimo iż w stolicy Anglii wiele jest pustostanów to nie są one równomiernie w mieście rozmieszczone. W Chiswiku wiele ich niestety nie ma. Największe zagęszczenie opuszczonych posiadłości znajduje się w najbiedniejszych dzielnicach miasta. Wynika to z tego, iż domy te, w większości należące do gmin, są już w tak fatalnym stanie, że zasiedlenie ich bez przeprowadzenia gruntownego remontu jest wbrew wszelkim przepisom BHP. A pieniędzy na takie remonty miasto nie ma.

Hackney, które zamieszkujemy jest właśnie jedną z takich biednych dzielnic. Jak głoszą squatterskie statystyki, 1139 domów na Hackney aktualnie stoi pustych. Liczba ta jest tym bardziej interesująca, że według danych zebranych przez gminę 1440 mieszkańców tej dzielnicy czeka na nowe mieszkania. Niestety w ostatnich czasach obserwuje się w Londynie zjawisko określane mianem „gentrification” czyli odsprzedawanie budynków przeznaczonych do zasiedlenia przez klasę niższą, bogatym przedsiębiorcom robiącym interes na handlu nieruchomościami. Czemuś takiemu squattersi (przynajmniej ci, angażujący się w ruch) chcą przeciwdziałać. Pierwszym krokiem na tej drodze będzie rozwieszenie ulotek informujących opinię publiczną o wyżej wspomnianych statystykach i zachęcających do zasiedlania opuszczonych budynków. Żeby sprawę ułatwić ulotki zostaną też rozwieszone na każdym pustostanie w Hackney, w ten sposób wszyscy zainteresowani będą mogli je bez problemu zidentyfikować. Jess deklaruje, że na następnym spotkaniu Nelsona przyniesie kompletną listę adresową pustostanów. Wtedy podzielimy się rejonami i przystąpimy do plakatowania.

W międzyczasie Jess i Becky omawiają plan włamania się do niedawno wypatrzonemu potencjalnego squata. Sytuacja jest dość skomplikowana gdyż wszystkie wejścia do domu są łatwo widoczne z pobliskiej ulicy a to utrudnia ewentualną akcję. Jess po kolei analizuje wszystkie możliwości zdobycia posiadłości. Krzysztofowi, urodzonemu majsterkowiczowi, zaczynają radośnie świecić się oczy. Widok dziewczyny poruszającej praktyczne tematy squatowania to na Dove Row rzecz dość niecodzienna.

Wracamy do domu piechotą. Sugeruję, żeby wziąć autobus, ale Krzysztof argumentuje, że każdy szanujący się squatters nie może wrócić z Nelsona komunikacją miejską. Nie ma rady, trzeba iść. Po drodze mijamy gigantyczny market Sainsbury. Sugeruję, żeby zajrzeć do skipów. W drodze na tyły budynku dostrzegam mały śmietnik. Zwalniam kroku, by rzucić okiem na zawartość. Krzysztof rzuca, żebym dał sobie spokój, w podobnych kosztach nic ciekawego nie można znaleźć. Ja jednak puszczam jego słowa mimo uszu gdyż dostrzegam na szczycie sterty śmieci obiecująco wyglądający pakunek wyglądający na świeżą kanapkę z supermarketu.

Tu mała dygresja. Skpping można trochę przyrównać do otwierania prezentów. Podnosząc klapę śmietnika nigdy nie ma się pewności co też wyłoni się z jego czeluści. Zazwyczaj jest to kilka bananów, jakieś pieczywo, warzywa. Czasem zdarzają się jednak rarytasy jak np. ciastka, słodkie bułki czy nawet

soki owocowe. Prawdziwym bohaterem jest ten, który przyniesie podobne frykasy do domu. W historii Dove Row miało już miejsce kilka spektakularnych znalezisk: sześćdziesiąt puszek przeterminowanego piwa, dwadzieścia opakowań cynamonowego pieczywa z rodzynkami czy też uwiecznione przeze mnie na zdjęciu piętnaście kilogramów bananów. Aktualnie w rankingu najlepszych skipperów przoduje u nas Tal, ale jedno dobre znalezisko mogłoby te statystyki zmienić.

Powodowany squatterską ambicją biorę rzecz do ręki. Jest szczelnie owinięta grubą folią. Zaczynam proces odpakowywania, ale rzekoma folia okazuje się być bardzo mocną taśmą przylepną. Mimo to udaje mi się oderwać kawałek. Ze środka wydobywa się dziwny zapach smrodu pomieszany z perfumami. Krzysztof widząc moją zdziwioną minę bierze pakunek do ręki. Po krótkiej inspekcji wyrzuca przedmiot za pobliski murek. Obdarza mnie pełnym politowania spojrzeniem i informuje: „Pielucha”. Chyba najwyraźniej trochę jeszcze muszę się o skippingu nauczyć...

Poniedziałek

Idziemy z Krzysztofem i Talem na moje pierwsze „Resist Eviction”. Przybywamy na miejsce o 9.20, dziesięć minut przed planowaną eksmisją. Na miejscu jest już kilka osób, pozostali ciągle się schodzą. Ogółem pod dom położony na Shakespeare Walk przybywa około dwudziestu pięciu życzliwych squattersów.

Ku mojemu zaskoczeniu „Resist Eviction” przypomina bardziej tea party, czyli imprezkę przy podwieczorku niż, jak oczekiwałem, krwawe starcie z przedstawicielami prawa. Na wystawionym przed domem stole czekają bagietki, dżem, masło orzechowe, ciastka. Lokatorzy niefortunnego squata regularnie dostarczają gorącą kawę i herbatę. W nietypowej jak na podwieczorek aurze mroźnego poranka zapoznają się z kilkoma przedstawicielami squatterskiej sceny. Około 9.50 zjawia się skromna, uśmiechnięta kobieta, przedstawicielka gminy. Włącza się do rozmowy, jest bardzo przyjaźnie nastawiona, można by nawet odnieść wrażenie, że jest jej trochę głupio asystować w eksmisji. O 10.15 pod dom podjeżdża furgonetka, z której wysiada trzech rośłych murzynów. Komornicy. Jeden z nich wysuwa się na czoło i donośnym głosem oznajmia, że mamy przygotować się na opuszczenie posesji. Kilka osób staje na schodach prowadzących do drzwi wejściowych, trzy inne ustawiają się w furtce na podwórko, pozostali tworzą dość swobodny mur przed ogrodzeniem. Jess mówi, że potrzeba nam więcej czasu żeby się spakować, jakiś chłopak rzuca z okna, że przez więcej czasu rozumiemy około sześć miesięcy. Wszyscy wybuchamy śmiechem. Głównodowodzący komorników zamienia kilka słów z przedstawicielką gminy po czym wszyscy odchodzą w kierunku końca ulicy. Becky biegnie za nimi zorientować się w sytuacji. Wraca z informacją, że została już wezwana policja, będą za jakieś dwadzieścia minut. Korzystamy z tej przerwy, że napełnić nasze brzuchy pysznymi kanapkami z masłem orzechowym. Rzeczywiście, po upływie niespełna pół godziny na drugim krańcu ulicy pojawia się okazały radiowóz.

Policjantów jest pięcioro, trzech mężczyzn i dwie kobiety. Pochodzą do naszego zgromadzenia, obdarzając nas serdecznymi uśmiechami. To przecież tacy sami ludzie jak my, ich celem nie jest wcale skopanie squatterskich tyłków, wręcz przeciwnie, z pewnością wolą żeby ich praca była dla nich jak najmniej stresująca. Poza tym, jak zauważył później Krzysztof, jak tu się nie uśmiechnąć na widok grupy ludzi pijącej na świeżym powietrzu herbatę i zjadającej ciasteczka o dziesiątej rano. Razem z policjantami na miejsce akcji przybywa jeszcze jeden przedstawiciel gminy. Pyta kto jest naszym

rzecznikiem. Z naszej strony odpowiada mu tylko milczenie. Kolejne pytanie: czy mamy zamiar się dziś wyprowadzić. Kilka osób odkrzykuje zdecydowanie: „Nie!”. Mężczyzna nie wydaje się zdziwiony tym obrotem spraw. Bez specjalnej złości, lecz już z większą determinacją niż jego koleżanka, informuje nas, że komornicy powrócą, tyle że w asyście, jak to ujął, „większej siły policyjnej”. Po czym odwraca się i w towarzystwie komorników oraz stróżów prawa odchodzi w siną dal. Udało się - moje pierwsze „Resist Eviction” zakończyło się sukcesem. Tylko Tal jakiś smutny. Kiedy pytam go o przyczynę melancholii mówi mi, że miał po prostu ochotę na jakieś zamieszki. Cóż, może innym razem...

Tomasz Marciniak